

Już siódma premiera*)

POWOLI, powoli, ale w sposób widoczny „obrastamy” w tradycję teatralną. „Brat marnotrawny” rozpoczęliśmy szczęśliwie i z wielkim powodzeniem drugi sezon, a zarazem zaliczyliśmy sobie ni mniej ni więcej tylko siódmą już premierę. Nie jest to statystyka zdolna przyprowadzić kogokolwiek o zawrót głowy, tym niemniej dla nas, poniekąd „nuworyszy” teatralnych, wysoce krzepiąca. Nie tylko bowiem trwamy uparcie, ale wykazujemy ogromną chęć rozwoju i godziwe ambicje. To znaczy my wszyscy, cała społeczność teatralna: artyści i publiczność. Zaczynamy smako-

wać w teatrze, zwłaszcza że karmi nas wcale znośnie i coraz to lepiej. Dajmy wszakże pokój tej kulinarnej metaforyce i przystąpmy do właściwego tematu.

Jeśli ktoś zna Oscara Wilde'a przede wszystkim jako poe-
tę, będzie się czuł odrobinę zasko-
czony jego dramaturgią. Przy-
najmniej większością dramatów.
Wyobraźmy sobie bowiem, że
Kasprowicz nie ślad ni zowad
zaczyna pisać jak sam Bernard
Shaw. A tak właśnie — pozwól-
my sobie na pewną dozę prze-
sady — ma się rzecz z Oskarem
Wilde. Subtelny, czasem także
mocno mglisty liryk potrafi być
czytelny i błyskotliwy jak u-

osobnienie dowcipu. Przy tym
mało interesuje go konstrukcja
fabuły, uprzywilejował sobie bo-
wiem ponad miarę paradoks i
jemu potrafi poświęcić wszystko,
nawet logikę wydarzeń.

„Brat marnotrawny” posiada
fabułę na poziomie zgola banal-
nej farsy, ale równocześnie od-
znacza się cudownie wymodelo-
wanym językiem i takim nagro-
madzeniem dowcipów, że można
by nim obdzielić kilka wcale u-
danym komedii. Toteż sztuki tej
właściwie nie oglądamy, lecz
słuchamy jak koncertu. Fabuła
jest tu po prostu sprawą drugo-
rzędną i mało istotną, choć prze-
cie dzieje się w niej ogromnie

dużo. Toteż widz szczególnie u-
wrażliwiony na intryzę również
nie poczuje się zawiedziony. Sło-
wem: dla każdego coś miłego.

Walbrzyska inscenizacja „Bra-
ta marnotrawnego” bardzo przy-
padła do gustu publiczności. Re-
żyser widowiska, Zbigniew Bes-
sert, potrafił wydobyć z tej
świetnej sztuki cały jej wdzięk,
urok i błyskotliwość. Przedsta-
wienie ma znakomite tempo, do-
skonale rozkład akcentów ko-
micznych i świetnie opracowane
dialogi. Reżyseria jest ponadto
tak dyskretna, że się właściwie
jej nie dostrzega. Poszczególne
sytuacje i spiczki sceniczne skła-
dają się na zharmonizowaną i
klarowną całość.

Wszystkie role, nawet epizo-
dyczne, uzyskały staranny kształt
sceniczny. Szczególnie podobała
się Barbara Komorowska jako
Gwendolina, a jej interesującym
partnerem był Bronisław Orlicz
w roli Johna Wortinga. Świetny
duet tworzyli również Maria
Szadkowska (Cecylia) i Henryk
Dłużński (Algiernon). Zwłaszcza
ten ostatni potrafił w sposób
bezbłędny, a zarazem uroczy
punktować każdy dowcip i był
— jak to się czasem mówi w
takich razach — „duszą” całego
widowiska, choć — powtarzam
— nie posiadało ono chybionych
ról.

Zabawna była Zuzanna Łoziń-
ska jako lady Bracknell, parę
świetnych epizodów stworzył
wielce sympatyczny Adam Cy-
prian, dobrze weszli również w
role Józef Powojewski (Lane),
Jerzy Tyczyński (Merriman) i
Barbara Łukaszewska (Prism).

No i scenografia. Śliczna. Lek-
ka, pełna wdzięku, a zarazem —
jeśli można tak rzec — zwięzła
i powściągliwa. Stanowiła nie-
zwykle trafne tło dla tekstu Wil-
de'a.

W sumie zabawne i urocze wi-
dowisko. Bez przesady.

(jah)

*) Oskar Wilde: „Brat marnotraw-
ny”, komedia w trzech aktach.
Przekład: Cecylia Wojewoda. Reży-
seria: Zbigniew Bessert. Scenografia:
Wanda Czaplańska.